

POWIEŚĆ i NOWELA

*bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Świata”
do N-ru 36-go z dnia 7.IX.1935 r.*

JÓZEF BIAŁOSKÓRSKI

10 LAT PIEKŁA W LEGJI CUDZOZIEMSKIEJ

Poniżej podajemy wyjątek z pamiętnika Józefa Białoskórskiego p. t. „10 lat piekła w Legji Cudzoziemskiej”. Książka ta, oparta na niezmiernie bogatych przeżyciach autora, exrobociarza z Łodzi spotkała się z życzliwym przyjęciem całej krytyki.

Bogata treść, jedyny styl, ciekawe i oryginalne ujęcie stawiają książkę Białoskórskiego w rzędzie lepszych utworów literackich ostatniej doby.

ROZDZIAŁ IV

Już nazajutrz rozpoczęła się zwykła orka. Kapitan wybrał 45 legionistów na patrol w stronę gór, gdzie spodziewał się spotkać powstańców arabskich. Zaledwie oddział pod jego komendą zniknął na horyzoncie, doleciało zdaleka echo strzałów.

Kapitan Wiśniewski natychmiast zrobił zbiórke i zostawiając nie więcej, jak 30 ludzi w forcie, ruszył z resztą na pomoc. Czekamy niecierpliwie. Słysząc coraz silniejszą strzelaninę.

Sierżant, zdenerwowany strasznie, skrzyknął resztę załogi i biegiem pognął w stronę bitwy. Ja sam jeden miałem pozostać w opustoszałym poście. Głupio mi się jakoś zrobiło, więc nie namyślając się — porwałem karabin i pędzę za nimi. Jeden z kolegów, trochę chory, pozostał wtyle, więc kazałem mu wracać do postu, a sam, nie zważając na to, że byłem w białym kaftanie kuchennym, na który zapiałem pas i ładownicę i w białej czapce kucharskiej, dogoniłem oddział sierżanta. Zdaleko już było wracać, żeby się przebierać.

Skoczył na mnie sierżant, pytając, kto będzie gotował obiad, ale odpowiedziałem, że jak tam koledzy giną, nie warto myśleć o obiedzie.

Dopadliśmy naszej kompanji, kiedy już bitwa się skończyła. Arabowie uciekali, kapitan gnał za nimi z kompanją, więc dołączywszy z lewego skrzydła, otworzyliśmy mocny ogień pościgowy. Zbyt daleko już odbiegli Arabowie, żeby ich gonić; kapitan kazał zatrzymać się, zatrąbiono na zbiórke całego bataljonu. Zbieramy rannych; było ich trzech oprócz jednego zabitego. Kapitan był niezadowolony z tych strat, ale kiedy mnie zobaczył w szeregu w białej czapce i w kaftanie zamiast munduru, roześmiał się i odrazu poweselał.

— Co ty tu robisz? Dlaczego nie gotujesz obiadu.

— Żal mi było, mój kapitanie, że koledzy moi biją się, a ja mam stać przy kuchni. Tak wzięłem karabin i przybiegłem za sierżantem na pomoc.

Śmieje się kapitan ze mnie, z tej mojej głupoty. Bataljon zabiera zabitego i rannych na karabiny i wracamy w stronę postu. Jedna kompanja stanęła frontem na „prezentuj broń” i z taką pompą pochowano naszego poległego kolegę. Później kapitan miał przemowę o całym starciu, dziękował legionistom, że się nie bali i bili z całą ofiarnością, potem kazał mnie zawołać, bo byłem w kuchni. Wywołał mnie przed front i pokazując mnie innym, tak powiedział:

— Widzicie, ten legjonista, Polak, Białokórski, kiedy usłyszał, że się bijemy, nie namyślał się, nie wahał, tylko wziął karabin i pobiegł wspomagać kolegów. Weźcie z niego przykład, bo mało kto z was ma takie serce do walki, jak on. To nie tylko kucharz, ale i dzielny legjonista. Muszę go pochwalić, bo w ciągu tych paru miesięcy służby już szereg razy się odznaczył i kiedy mówi, że kochanką jego jest karabin, wierzę mu zupełnie. Za te zasługi mianuję go première classe soldat (starszym szeregowcem). Jest to pierwszy awans, jak wiecie, od czasów marszu z Colom-Bechar.

Winszują mi wszyscy oficerowie, a najbardziej cieszy się kapitan Wiśniewski.

— Jak długo służysz? — pyta.

— Osiem miesięcy, mój kapitanie.

— Służyłeś w wojsku polskim?

— Tak jest, jako kapral.

Odsalutowałem całej kompanii i marsz zpowrotem do kuchni, bo mięso mi się już przypalało.

— Jeżeli tak dalej pójdzie — myślę sobie, — tak szybko, to niedługo zostanę generałem. Ale czy rzeczywiście zasłużyłem na awans? Może ze strachu poszedłem, bojąc się samotnie zostać w poscie?

Tak sobie rozmyślając, zagapiłem się i krając mięso, skaleczyłem się w palec. Wołam więc tego dawnego kucharza do pomocy i we dwóch na godzinę trzecią skończyliśmy z obiadem.

Garcon, który podawał oficerom na stół talerze, co chwila przechodził do mnie i mówił, że oficerowie o niczem innym nie mówią, tylko o mnie.

Zaraz po obiedzie poszedłem do krawca, kazałem sobie naszyć naszywkę na rękawie, i wychodzę na podwórze. Koledzy otoczyli mnie z powinszowaniami, ale jakoś między nimi nie było ani jednego Niemca. Ci wszyscy widocznie zazdrościli mi. Nic sobie z tego nie robiąc, poprosiłem kapitana, żeby mi dał kartkę do magazynu na 10 litrów wina, bo muszę przecież poczęstować swoich kolegów, no, i nie odmówił mi. Kiedy Niemcy zobaczyli, że nalewam wino tym, którzy mi poprzednio dobrze życzyli, podbiegli i dalej do mnie z czułościami.

— Nie, braciszku — powiadam. — Teraz zapóźności się wybrali. Ja przyniosłem wino tylko dla tych, którzy mi od razu rękę podali.

Odeszli więc zagniewani. Wróciłem na odpoczynek do swego pokoju, ale nie byłem rad z awansu.

— Nie dziś, to jutro kula nas czeka, i tak i tak napewno stąd żywi nie wyjdziemy. Dawno już dosyć mam tej Sahary.

W pewnej chwili, kiedy sobie leżałem na pościeli, wybuchła znów strzelanina. Okazało się, że spory oddział Arabów ukazał się niedaleko fortu, ale kiedy dano doń ogień z karabinów maszynowych, uciekli od razu, zostawiając kilkunastu zabitych.

Nie wyszedłem nawet z izby. Wiedziałem, że jestem niepotrzebny. Tymczasem jedna kompanja rzuciła się w pościg za Arabami, wzięła 16-tu do niewoli i sprowadziła ich do postu. Wypytał kapitan jeńców, co chciał wiedzieć, potem kazał im wykopać rów za murami fortu, zgłosiło się kilku naszych na ochotnika, roznieśli wszystkich jeńców na bagnietach, cisnęli do rowu, zakopali i koniec.

Nie chciałem nawet na to patrzeć. Myślałem tylko o tem, co to będzie, jak oni nas w swoje ręce dostaną, ci Arabowie, i jak się nam wtedy odwiedzają.

I znów szły dni za dniami.

Posterunki zmieniały się co pewien czas, służba szła zwykłym trybem, Arabowie jakoś nie atakowali, cisza była i spokój. W tydzień po tej bitwie nadleciał i wylądował na piasku aeroplan. Przyjechał z lotnikiem jeden lekarz, przywieźli pozątem prowiant i listy. Kapitan przyjął pocztę, stanął przed frontem kompanji i wyczytywał po nazwisku wszystkich, którzy dostali listy. Kiedy zobaczył pismo adresowane do mnie, nie oddał mi go, tylko schował do kieszeni, żeby mi oddać osobiście. Ja bowiem przez cały czas byłem w kuchni.

Ponieważ aeroplan miał za 30 minut odlecieć w powrotną drogę do Colom-Bechar, lekarz pośpiesznie zbadał rannych, z których dwaj bardzo już źle się czuli, kazał ich wnieść do samolotu, i niecałkowicie, zaledwie zdołaliśmy się pożegnać, lotnik wystartował.

Przyszedł do mnie do kuchni kapitan i pyta, czy czego się nie spodziewam.

— A czego? Śmierci, mój kapitanie.

— No, tego ci nie dam, ale mam list dla ciebie od panny Galiano.

W liście była jej fotografia. Ucałowałem ją, bo niby tak wypada, oddałem kapitanowi do obejrzenia i biorę się do czytania listu, ale że po francusku czytać ani wżab, wyręczył mnie kapitan.

„Drogi Józef! Jestem już w Meknes i mam zamiar jechać dalej do Casablanki. Kiedy wyjadę, dam ci znać później. Co do naszej podróży, wszystko było dobrze i szczęśliwie. Zawsze myślę o Tobie i będę do Ciebie pisała. Postaraj się nie zapomnieć o mnie i Ty. Uklony dla kapitana i tego drugiego Polaka, który spał ze mną. Dowidzenia. Galiano“.

Trochę nie wierzyłem w to co mi kapitan przeczytał, bo mi się zdawało, że ona musi coś innego pisać, szczególnie, że kapitan śmiał się, czytając i rozmawiając później o mnie z kapitanem Wiśniewskim. Obiecywałem sobie, że dam później list do przeczytania sierżantowi i będę dokładnie wiedział, co w nim było napisane.

Jakoś po południu widząc zgóry, przez okno, jak kapitan całemu oddziałowi pokazuje coś na pustyni.

— Znów coś nowego będzie — pomyślałem.

Rzeczywiście. Zarządzono zbiórke i 150 legjonistów z 3-ma oficerami na czele wyruszyło na patrol. Poprowadził ich kapitan. Tym razem przeczuć, że stanie się coś złego, zawiodło. Po zachodzie słońca wrócił kapitan z oddziałem, nie nie upolowawszy.

Odtąd patrole przestały wychodzić z fortu.

Całe tygodnie mijały w zupełnym spokoju. Arabowie nie atakowali, słońce przygrzewało mocno, więc odpoczywaliśmy za wszystkie czasy. Któregoś dnia przypomniałem sobie o tym liście, który do mnie panna Galiano pisała, chciałem go dać sierżantowi do przeczytania, ale okazało się, że gdzieś zaginął, albo ktoś ukradł.

Nudziło się nam serdecznie. Co pewien czas tylko odwiedzały nas aeroplany z amunicją i prowiantem, ale wreszcie pewnego dnia przywieźli

nam coś nowego. Kapitan dostał rozkaz, że jeżeli Arabowie nas nie atakują, to mamy posuwać się naprzód, a do fortu, który opuścimy, ma przyjść na nasze miejsce kompanja czarnych murzynów senegalskich. Rozkaz podpisany był przez pułkownika Roller, który jako głównodowodzący saharyjskiej Legji Cudzoziemskiej, miał swoją kwartę w Sidi-bel-Abbes.

Wkrótce potem przemaszerował cały bataljon Senegalczyków, a my, 250 legjonistów, zostawiliśmy swoje wielbłądy i muły w forcie, wyruszyliśmy w drogę. Żywności wzięliśmy na trzy dni, dużo amunicji, pięć karabinów maszynowych i maszerujemy.

Ledwie oddaliliśmy się o jakie 6 kilometrów od postu, gdy już ukazali się Arabowie. Kapitan wydał rozkaz paść na ziemię, rozłożyć karabiny maszynowe i uszykować się do manewru oskrzydłającego. Arabowie nie cofali się. Odrzucając się do ataku.

Otworzyliśmy na nich silny ogień, tak, że od razu rzucili się do ucieczki, ale nie zdążyli się wymknąć. Nakładaliśmy ich, jak śledzi, u nas zaś ani jeden nie był ranny, ani zabity.

W pościgu za Arabami, przez niewielkie wzgórza piaskowe i gaje palmowe, dotarliśmy do miejsca, gdzie znajdowała się kazba. Tam to schronili się w ucieczce. Nie było po co wysłać parlamentarza, bo wiadomo było, że i tak się nie poddadzą.

Kapitan dał rozkaz, żebyśmy dla oszczędzania naboju otworzyli powolny ogień na kazbę, a tymczasem 10 legjonistów z sierżantem na czele ruszyło do postu po amunicję.

Nie wiedzieliśmy, że część Arabów pochowała się po wydmach i zagajnikach palmowych i pozwoliła się nam wyprzedzić, ukrywając się z tyłu za nami.

W pewnej chwili, kiedy sierżant dowodzący tym oddziałkiem, nakazał odpoczynek, wyskoczyli z gąszczy Arabowie i rzucili się na nich z nożami. Na obronę było za późno i za wielu było Arabów. Prawie wszystkim legjonistom pościnali głowy nożami, trzech tylko żywcem przywiązali do palmy i palić ich zaczęli żywym ogniem.

Na szczęście, chociaż i tak było za późno, zauważyliśmy dym za nami i kapitan, coś niedobrego podejrzewając, wysłał zaraz 50 legjonistów na wywiad. Ja między nimi. Biegając ile sił ujrzelśmy wreszcie leżące na piasku ciała naszych kolegów. Głowy poobcinane, oczy wyłupione, poranieni straszliwie. Trzech zaś żywcem się pali. Rzuciliśmy się na ratunek, ale cóż mogliśmy pomóc? Jeszcze żyli, ale ciała mieli spalone, aż wnętrzości było widać. Oczy mieli zamglone, konali widocznie.

Kiedyśmy gasili tych nieszczęśliwców, naraz salwa karabinowa do nas. Padliśmy na ziemię i rozpoczynamy ogień. Kapitan Wiśniewski, który nami dowodził, kazał odczyć wzgórze, na którym kryli się Arabowie, a tymczasem kapitan Lapont, usłyszawszy strzały, z całym oddziałem rzucił się nam na pomoc.

Arabowie po chwili zaprzestali ognia. Widocznie zabrakło im już amunicji. Poszliśmy wówczas na bagnety. Pochowani byli sprytnie za kamieniami i po różnych dziurach, ale przetrzasnęliśmy całe wzgórze jak należy, 14-tu utłukliśmy na miejscu, a 49-ciu zabraliśmy do niewoli. 50-ciu na-

szych zostało, aby wykopać grób i pochować poległych i zamęczonych kolegów, my z jeńcami arabskimi powróciliśmy do postu.

Dowódca oddziału senegalskiego jak się dowiedział o wszystkim co się stało, od razu kazał swoim wykopać dół i wydał wszystkich jeńców w ręce tych djabłów senegalskich. Wymordowali ich strasznie, aż krew tryskała na wszystkie strony; Senegale w zaciekleści zagryzali Arabów zębami na śmierć. Został przy życiu tylko jeden Arab, którego kapitan zatrzymał, bo był mu potrzebny.

Zasypało się wszystkich pośpiesznie, potem niedługi odpoczynek i nad ranem znów wymarsz pod ową kazbę, zpod której się wczoraj cofnęliśmy.

Rozłożyliśmy karabiny maszynowe, kapitan potem napisał kartkę po arabsku, przykleił ją jeńcowi arabskiemu na plecach, ręce mu kazał związać, jedno oko wyłupić i puścić. Okaleczony biegł z bólu tak szybko, jak najlepszy biegacz i wnet dopadł do kazby.

Na owej kartce było wypisane wezwanie do kaida wioski, by poddał się natychmiast, bo w przeciwnym razie wszystkich Arabów, którzy tam w kazbie siedzą, taki sam los czeka, jak tego, co przyniósł kartkę.

Ruch się zaraz zrobił pomiędzy Arabami. Czekaliśmy, że kaid wyjdzie zaraz i podda wioskę, ale gdy przez dłuższy czas nikt się nie pokazywał, poszła salwa ze wszystkich karabinów.

Nagle, ni stąd ni zowąd, wypadła z za pagórków kawalerja arabska. Walą na nas pełnym galopem, strzelając w biegu. Pokazaliśmy im jednak, jak się to bije po europejsku. Ani jeden z nich żywy nie wyszedł z tego ataku. My zaś, czołgając i kryjąc się za kamieniami, zbliżaliśmy się coraz więcej do murów kazby i wreszcie, bagnety na broń założywszy, wpadliśmy przez bramę do środka.

Paru z nas padło, ale ich — niech Pan Bóg broni! Istna masakra. Cała kazba do nogi wycięta. Pokotem leżeli. Bili się dzielnie. Nietylko mężczyźni, ale i kobiety i dzieci rzucały się na nas z kijami i sztyletami. Lament wokoło nas, jęki rannych i konających.

Ja sam nasadziłem na bagnety jakąś babę, która mnie kamieniem w głowę uderzyła, a wogóle nie było już kogo mordować.

Po kilku minutach wylazł z jakiejś dziury ukryty kaid. Prosił, by zaprowadzić go do kapitana. Padł na kolana, ale nim zaczął mówić, kopnął go nasz dowódca w łeb i położył trupem na miejscu. Jeszcze tylko kropnął z rewolweru, żeby go dobić do reszty.

My, cały oddział, zebraliśmy naszych rannych — niewielu ich było — i w drogę zpowrotem do postu. Część tylko, i ja między nimi, została w kazbie, aby zrobić szczegółową rewizję, czy się kto gdzie z buntowników nie przyczaił.

Obejrzałem sobie wtedy dobrze tę kazbę. Paru kolegów, którzy od lat już służyli na Saharze i znali dobrze życie Arabów, opowiadało mi dużo rzeczy, o których nie wiedziałem. Kazba składała się z domów wzniesionych z ułożonych tylko i nie pozelepianych kamieni, a każdy dom — z jednego mieszkania. Czarno tam i ciemno, bo okien nie ma, tylko od strony wejścia światło pada.

Mieszka zwykle w takiej budzie cała rodzina: ojciec, matka, córki, synowie, zięciowie i ich dzieci. Śpią zawsze razem na ziemi, jak bydłota, wszyscy widzą, co inni robią w dzień czy w nocy, a taki dziwny mają zwyczaj, że gdy ojciec ma córkę, to ledwie dziewczyna jedenastu lat dojdzie, ojciec sam próbuje, czy będzie dobra na żonę i dopiero potem dziewczyna może wyjść zamaż.

Mają jeszcze i inne barbarzyństwa. Syn może matkę mieć, brat siostrę, tak że cała familja, bez względu na pokrewieństwo, utrzymuje ze sobą stosunki miłosne. Niektórzy Arabowie, co bogatsi, mają po trzy, cztery i więcej żon, nad którymi są panami życia i śmierci, a kaid, czyli wójt i kapitan zarazem, ma zawsze conajmniej sześć, a często osiem takich niewolnic.

Dom kaida jest już lepiej zbudowany, ma pięć lub sześć pokoi, z których jeden, zwany „acharadzu“, czyli pokój miłości, służy na pomieszczenie haremu. Taki kaid nie nigdy nie robi, tylko wszystkim rozkazuje, a cała wieś musi dbać o jedzenie dla niego i jego niewolnic. Kiedy przyjdzie na świat małe Arabiatko, kaid daje mu imię i nazwisko, i zwykle tak bywa, że cała kazba jak jeden mąż nosi jedno nazwisko, takie same, jak i wieś.

W tej, którąśmy wyróżnili właśnie, nie było innych Arabów, tylko Sidi Ahmed, albo Ahmed Sidi. Kaid tylko nosi inne nazwisko i to zawsze trzy albo cztery. Ten, którego kapitan zatłócił, nazywał się: kaid Halas-Hadżu-Haden, z czego Hadżu, albo jak czasem mówią „hadzi“ to jest tytuł, oznaczający człowieka, który odbył pielgrzymkę do grobu Mahometa.

Biedny to naród, nie mają gruntów do uprawy, żyją tylko korzeniami i orzechami oraz owocami oliwki, a na całą kazbę mają z 10, albo 20 owiec, 15 do 30 kóz i kiedy mają jakieś święto, zabijają jedno zwierzę, dzieląc się mięsem po kawałeczku na całą wioskę. Wypada to na jedną osobę nie więcej, jak 5 gramów, jeżeli chodzi o dużą wieś.

Marne jest ich życie. Ma taki Arab trzy kobiety, ale nie myśli o nich. Nie robi, tylko leży sobie na słońcu i przygrywa sobie na piszczalce, a te jego żony, czy raczej niewolnice, nie tylko mu znoszą jedzenie. Co on sobie pogra, to sobie woła jedną z żon i skacze z nią jak kogut. Te kobiety są zakryte całkiem tak, że z całej twarzy tylko im oczy widać, a Arab nie ma dla nich żadnej litości, a tłucze je i bije, jakby tylko się poło urodził. Kiedy jedzie w gościnę do jakiejś innej kazby, bierze ze sobą i sam jedzie na osle, kiedy one z dziećmi na plecach wędrują piechotką.

W samej kazbie straszny jest nieporządek. Śmierdzi, jak cholera, nie do wytrzymania. Obejrzałem sobie wtedy życie Arabów doskonale. Ale co było najciekawsze, to to, że broń mają widocznie dostarczaną z Europy, bośmy im odebrali mnóstwo niemieckich karabinów, model 71, 88 i 98.

Teraz, kiedyśmy wszystkich mieszkańców wioski wyróżnili, albo wypędzili, cisza była taka, że aż w uszach dzwoniło. Kapitan dał rozkaz, żeby dobrze uważać na wszystko, bo niewiadomo co nas może każdej chwili czekać. Rozstawiliśmy posterunki, reszta wyjęła konserwy, zjadła obiad, który był zarazem i śniadaniem, ale nie siadaliśmy ani na chwilę.

Wylazły skądś Arabki, które nie zostały jakoś zabite, zbierają rannych, owijają w białe habity i pakują do wykopanych grobów. Ale nie kładą ich, tylko zginają do pozycji siedzącej, tak, że wyglądają, jakby się chcieli zerwać i uciekać...

Nie było już co czekać w tej kazbie. Wycofaliśmy się w stronę naszego postu. Trzeci bataljon Senegalów już tam rozpoczął służbę i objął posterunki. Nasz kapitan powiada, że znów mamy zabitych i rannych i że musimy odpocząć po tej bitwie. Zjedliśmy kolację, ale nie szliśmy na spoczynek. Zbraliśmy się grupami, według narodowości, Polacy, Czesi i Rosjanie — razem, i zwierzyliśmy się sobie z tego, cośmy dziś przeżyli.

— Niech piorun weźmie takie życie — mówimy między sobą. — Bić się to bić, ale rzeź urządzić, tego już za dużo! I dlaczegoż to francuskie oddziały nie służą na Sańarze? Dlaczego tylko oddziały cudzoziemskie? Tu cała zagadka.

Śpią w poscie Senegale po izbach, my pod namiotami na dziedzińcu. Noc przeleciała prędko, zatrąbili na apel. Wzięliśmy wszystkie nasze muły i wielbłądy, bo jakoś zmieniły się rozkazy i mamy budować sobie drugi post opodal gór, o jakieś 15 kilometrów od fortu, w którym dotąd siedzeliśmy.

Mineliśmy w marszu kazbę, wyciętą przez nas wczoraj, przeszliśmy jeszcze 6 kilometrów w głąb pustyni, ku skalistym górcom i nigdzie nie napotykając Arabów, zatrzymaliśmy się na miejscu, gdzie kapitan postanowił budowę postu. Pożywiliśmy się trochę i zaraz — do roboty.

Nosząc kamienie na plecach, że było nas 243 legionistów, szybko wznosiliśmy mur. Prędko szła robota. Do wieczora stanął mur na metr wysoki, na 20 metrów w kwadrat długi. Umyślnie budowaliśmy ze wszystkich stron od razu, ażeby sobie na noc zapewnić ochronę przed Arabami.

Noc zapadła wreszcie. Rozstawiono podwójne posterunki, co 15 metrów jeden od drugiego, rozwinięto namioty, i kładziemy się spać, ale w pełnym ubraniu, z bronią pod ręką, w pogotowiu bojowym. Po tym marszu i po robocie zasnęliśmy szybko i spokojnie. W każdym rogu muru jeden karabin maszynowy czuwał nad nami.

Nazajutrz znów cały oddział wziął się do budowy, tylko ja jeden byłem od niej zwolniony. Mój kapitan nie chciał żyć suchą strawą i kazał mi obiad gotować.

W czasie przerwy obiadowej, gdy mur podciągnięty już był do wysokości 2 metrów, siedziałem sobie samotnie koło namiotu oficerskiego, z niechęcią myśląc o ostatnich wypadkach i wspominając dobrych swoich kolegów, którzy poginęli w potyczkach i bitwach. Kiedy tak sobie rozmyślałem o tem, czy kiedyś jeszcze dostanę się zpowrotem do Polski, niespodziewanie podszedł do mnie nasz porucznik, ten Hiszpan, nazwiskiem Agacio, i stanawszy przedemną pyta, czemu jestem taki smutny, o czym myślę, że niby z pewnością o mojej pannie Galiano.

— Nie, poruczniku — odpowiadam. — Ale tak myślę, że skoro pan tak często ją wspomina, sam z pewnością czule o niej myśli.

Oficerowie, którzy to słyszeli z namiotów, poczęli śmiać się z niego, on zaś zaczerwieniony ze złości, ni stąd ni zowąd wyzywa mnie na boks.

Patrzę na niego ze zdziwieniem, czy aby nie zwariował, bo jakże oficer miałby się bić z prostym legionistą. Ale tu kapitan Wiśniewski podchodzi do mnie, trąca w bok i powiada:

— No, dalej, nie bój się.

— Ja? Polak? Miałbym stehórzyć?

Zrzuciłem kaftan i szykuję się z pięściami do niego. Śmiech między oficerami.

— Brawo, dzielny kucharz, — krzyczą. — Dalej, do pięści.

— Gotów jestem, poruczniku, — powiadam.

On nie odezwał się. Cofnął się tylko, grozi mi palcem i powiada:

— Czekaj, ja ci pokażę.

— Co pan pokaże mu, poruczniku? — wtrąca kapitan Lepont, który to dosłyszał. — Napewno nie mu pan nie zrobi.

Widząc, że porucznik nie ma jakoś ochoty do bójki, odszedłem na bok, a wszyscy oficerowie głośno zaczęli drwić z kolegi, że najpierw wyzywa do walki biednego legionistę, a potem tchórzy.

— Nie, koledzy — odpowiada porucznik. — Boję się tylko, że gdyby on mnie uderzył, zabiłbym go na miejscu.

Tu wtrąca się kapitan Wiśniewski.

— Owszem, ale nie ręką chyba, tylko szablą.

Słucham tego wszystkiego i tak sobie myślę, że jakbym mu dał parę kulaków pod nos, tobym go napewno zasmarkał i chłopcy się nie zatrzymał aż

w swoim hiszpańskim Madrycie. Był to bowiem mężczyzna niskiego wzrostu, chudy i suchy, jak wiórek, z wielkim i cienkim nosem, trochę podobny do Araba, jako że Hiszpan.

Tymczasem kapitan podszedł do mnie i radząc, żebym się niczego nie bał, kazał mi wziąć się do swojej roboty. Zrobiłem co do mnie należało i po umyciu naczyń poszedłem sobie na przechadzkę nad rzekę.

Nie było tam daleko, ze 200 metrów od obozu. Kiedyśmy się z jednym z kolegów zbliżyli do rzeki, patrzę, a tu mi zpod nóg zrywa się całe rojowisko wodnych węzów i pełzną po piasku do wody. Przeląknęłam się tego plugastwa i już ostrożnie, żeby jeszcze czegoś gorszego nie spotkać, stanąłem na brzegu. Patrzę i widzę mnóstwo ryb, kręcących się w wodzie, a między niemi jakąś poczwara, na podobieństwo krokodyla, jak wygrzebało się z piasku i zaczęło wlec się w naszą stronę. Wielkie było i straszne, więc zwałem do kapitana i opowiedziałam mu, co zobaczyłem.

On mi na to, żebym aby broń Boże nie próbował się kąpać, bo z pewnością żywy nie wyjdę, ile że w mule na dnie mnóstwo gnieździ się jadowitych stworzeń. Rzeka, jak się wtedy dowiedziałem, nazywała się Kidał, a wpada do Sebu, która z kolei płynie do Atlantyku.

Prędko się skończył ten odpoczynek. Kapitan rozdzielił cały oddział. Jednych do ścinania i rąbania drzewa, drugich do noszenia kamieni, innych znów do dalszego wznoszenia murów nowego fortu.

W. DOROSZEWICZ

WALKA Z DROŻYZNĄ

(Bajka chińska).

Syn słońca, brat księżycy, wielki, wszechpojętny i wszechmądry cesarz chiński Czing-Czang, siedział w otoczeniu swej rady państwowej, złożonej z najdostojniejszych, najmędrszych i najbardziej cienkoskórych mandarynów.

Na porządku dziennym były sprawy wewnętrzne. Głos zabrał naczelnik policji i zarządca kraju, Tun-Li. Złożywszy władcy wszystkie należne według etykiety ukłony, rzekł:

— Synu niebios, światło wszechświata! I pies szczeka przy księżycu, pozwól przeto i mnie mówić w twojej obecności. Nędzny robak mówić będzie prawdę. Bowiem kłamstwo musi być wymyślone, a skąd weźmie tyle rozumu bezmózgi robak. Zmyślają tylko mądrzy ludzie, głupcy zaś muszą zadowolić się prawdą. Wielki władco! Pekin toczy wojnę z Nankinem, Nankin z Kantonem, Kanton z Szanghajem. A kraj nasz, wielkie Chiny, kwitną przy tem wszystkim. Rozkwit naszych wielkich Chin doszedł nawet do tego, że kury znoszą złote jajka.

— Złote jajka? — wykrzyknął cesarz ze zdumieniem. — Ależ to tylko w bajkach bywa.

— I również w kraju bajecznej pomyślności,

w Chinach! — uzupełnił skwapliwie Tun-Li, złożwszy ponownie wszystkie należne ukłony. — Gdybyś nie był synem niebios, o władco, powiedziałbym: — Przejdź się sam po rynku miasta i przekonaj się najmiłościwiej. Ile kosztuje jajko? Dukata! Mendel jaj — piętnaście dukatów! Ile jaj — tyle dukatów. Gdzieindziej na świecie, człowiek musi harować przez cały dzień, od rana do nocy, by zarobić dukata. A u nas? Kura zagadkała i już jest dukat! Gda-gda-gda i dukat!

Wszystcy mandaryni na znak podziwu podnieśli do góry palce wskazujące. Jedynie stary mędrzec Czi-San odezwał się:

— Tam, gdzie zbyt wesoło gdakają kury, zwykle nie do śmiechu jest ludziom.

Lecz dostojny władca dał mu znak, by zamilkł, poczem rzekł łaskawie:

— Nasz mistrz i nauczyciel Czi-San jest wielkim mędrcem, przeto uważa, iż musi zatruwać nam radosne chwile. Nie zwracaj nań uwagi, Tun-Li. Poto bowiem istnieje mądrość na ziemi, by zamącić radość, poto są chmury na niebie, by zaciemnić słońce... Jakżeś tedy powiedział, Tun-Li?

Gda-gda-gda — i dukat? To wspaniałe! Gda-gda-gda — i dukat!

I cała rada państwowa jęła w zachwycie powtarzać chórem:

— Gda-gda-gda — i dukat! Gda-gda-gda — i dukat!

Nigdy jeszcze nie było tak wesoło w radzie państwowej.

Cesarz rozkazał uderzyć w tam-tamy i rzekł:

— Ogłaszam posiedzenie rady państwowej za skończone. Z okazji stwierdzenia tak radosnego faktu zarządzam, by przez najbliższe trzy dni odbywały się w Pekinie i w całych Chinach zabawy i uroczystości narodowe, połączone z iluminacją i fajerwerkami.

I cała rada państwowa rozeszła się w podniosłym nastroju do domów.

Cesarz Czing-Czang rad i wesół wyszedł do swoich ogrodów pałacowych.

Każdego napotykanego człowieka obsypywał orderami Zielonego Smoka i złotymi guzickami.

Tak doszedł do samotnej, odosobnionej altanki w ogrodzie, gdzie wśród wonnych kwiatów żył mędrzec Czi-San.

— Lubię mędrców ino zdala! — rzekł władca, zbliżając się. — Zbliża niema z nimi o czym rozmawiać. Was, mędrców, nie ucieszy nawet order pierwszego stopnia! Nie interesują was nawet złote guziczki na czapce.

— O wielki i potężny władco! — odparł Czi-San, — gdybyś w bezmiernej swej łaskawości zechciał ofiarować mi dziesięć jaj, nie wiedziałbym, zaprawdę, jak ci podziękować.

— Jakżeżto? — zawołał monarcha zdumiony. — Ty, mędrzec, ucieszyłbyś się z tak marnego подарunku?

— A czyż tylko głupcy mają jeść? — spytał Czi-San, — zaiste, prawdę ci powiedziałem: tam, gdzie zbyt dobrze jest kurom, zwykle niewesoło jest ludziom. To ładnie brzmi: gda-gda-gda — i dukat! Ale kraj przy tem wszystkim cierpi głód dotkliwy!

— A żeby smoki pożarły tego Tun-Li przekłętego! — wykrzyknął cesarz z rozpaczą. — I pomyśleć, że ja, władca 500 milionów Chińczyków, uradowałem się jak kogut w kurniku!

Cesarz pośpieszył natychmiast zpowrotem do swego pałacu, rozkazał przerwać wszelkie uroczystości i zabawy i zwołać niezwłocznie nadzwyczajne posiedzenie rady państwowej w nadzwyczajnej, niecierpiącej zwłoki sprawie.

Gdy rada zebrała się, wielki władca odezwał się gniewnym głosem:

— Niecny Tun-Li przedstawił nam dziś rano położenie Chin jako kwitnące i szczęśliwe, a tymczasem, jak się okazuje, kraj ginie! Kury znoszą jajka po dukacie sztuka, a nasz wielki mędrzec Czi-San, chluba naszego kraju, przymiera przez to głodem! Pomyślcie, co powie historia, co napiszą o nas kronikarze? Za panowania cesarza Czing-Czanga wielki i znamienity Czi-San, ozdoba i duma Niebieskiego Cesarstwa, umarł z głodu. Jakiegoś malca ośmioletniego pytają na lekcji historii w szkole: „Co wiesz o cesarzu Czing-Czangu?“ A smarkacz odpowie: „Za panowania tego cesarza mędrzy i filozofowie umierali z głodu“. I nauczyciel, zamiast go zganić, pochwali jeszcze, mówiąc: „Doskonałe. Zuch z ciebie chłopak!“ Imię nasze

stanie się pośmiewiskiem dla przyszłych pokoleń. Oto do czego doprowadził ten łotr Tun-Li swemi przechwałkami.

Tun-Li zbladł i padłszy trzykrotnie płackiem na ziemię przed monarchą, rzekł:

— O pozwól najdostojniejszy władco powiedzieć kilka słów głupiemu synowi mego głupiego ojca.

— Mów tedy, nędzny robaku! — zezwolił cesarz gniewnie.

— O synu niebios! Światło wszechświata! Wiemy teraz, dlaczego panuje głód w Chinach. Bo jajka kosztują po dukacie sztuka. Pozostaje więc tylko wykryć winnych i dać im po sto różeg bambusowych w pięty.

Wszyscy mandaryni przytaknęli zgodnie tym wywodom, które odpowiadały w zupełności prawom i zwyczajom Cesarstwa Niebieskiego. Na całym bowiem świecie, jak wiadomo, jest w zwyczaj udrażnianie ludziom dobrych idei chłostą po grzbiecie i niżej, w Chinach zaś sieką bambusami w pięty; prawdopodobnie dlatego, że w takich razach dusza w człowieku ucieka w pięty, więc też tam należy wpajać w nią zdrowe zasady.

— Byleby tylko znaleźć te pięty, które trzeba — wtrącił mądry Czi-San.

— Otóż to właśnie, — potwierdził Tun-Li z radością, — mądrość sama przemawia przez twe usta, o wielki i mądry Czi-Sanie! Właśnie o to chodzi, by znaleźć właściwe pięty. A czyż to będzie pięty, jeśli nie tych, co żądają dukata za jajko? Kto handluje jajkami po wsiach? Kto je sprzedaje do miasta? Chłopi są winni drożyznie. Ich więc należy ukarać przykładowie bambusami, a jajka polanieją.

— Twoja rada wydaje mi się rozsądną i logiczną, — orzekł monarcha po chwili namysłu. — Czyń zatem, co do ciebie należy.

Siedem gajów bambusowych zużyto, by wpoić wieśniakom chińskim, jaką cenę powinni brać za jajka.

A tymczasem jajka jeszcze bardziej podrożały. Sprzedawano je na rynku po dwa dukaty za sztukę.

— Dukat za jajko, a dukat za różgi! — rozumowano.

Władca dawno już nie widział swego wielkiego filozofa.

Mędrzec Czi-San leżał u siebie w altance wśród kwiatów i umierał z głodu.

Cesarz zaszedł do niego.

Nawet tak wypróbowany środek, jak bambusy, również zawiódł, — zawołał władca z rozpaczą.

A mędrzec w odpowiedzi wyszeptał tylko słabym głosem:

— Nie we właściwe pięty utrafiono, o synu niebios!

Monarcha, wróciwszy do pałacu, rozkazał zwołać niezwłocznie radę państwową. A gdy rada się zebrała, przemówił w te słowa:

— Mówiąc szczerze, nie lubię mędrców. Zbyt wielki z nimi anbaras. To nie to, co prości, nieuczeni ludzie. Ci żyją sobie, póki śmierć nie zawita w ich próg, a wtedy umierają cicho, spokojnie, bez hałasu, aż dusza się raduje.

Ale Boże uchowaj mieć na swej pieczy jakąś znakomitość. Co za odpowiedzialność przed historją! Jeśli umrze — to na co umarł, jak umarł, dla-

czego umarł? Cena jaj podskoczyła wdwójnasób. Nasz wielki Czi-San cierpi coraz dotkliwszy głód i nigdy zapewne nie był tak bliski nieśmiertelności, jak teraz. Wszystkie twoje starania, Tun-Li, poszły na marne.

— O synu niebios! Nie psuj swej boskiej wato-
troby, — zawołał Tun-Li, bijąc pokłony przed mon-
archą. — Wszak zło jest wiadome: drożyzna jaj.
Lekarstwo — znalezione: bambusy. Omyłka zatem
mogła zajść tylko w zastosowaniu. Okładaliśmy
zbawczym bambusem pięty wieśniaków. Ale prze-
cież w handlu zawsze dwaj są winni. Ten, co dro-
go sprzedaje i ten, co drogo kupuje. Wara miesz-
kańcom płacić po dwa dukaty za jajko! Czyż nie
przyczyniają się tem do wzrostu drożyzny? Z rów-
ną słusnością należałoby więc wysmagać pięty
spożywców. Niezbędna jest walka z chciwością, ale
też konieczna jest walka z marnotrawstwem.

Rada uznała, że rozumowanie to, oparte jest
na wszelkich prawidłach logiki i sprawiedliwości.

Tym razem zużyło na walkę z rozrzutnością
siedemdziesiąt siedem lasów bambusowych.

Walka trwała trzy dni, a czwartego dnia jaj-
ka kosztowały już 4 dukaty za sztukę. Nikt bo-
wiem nie ważył się kupować ani sprzedawać jaj-
ek na rynku. Sprzedawano je pokryjomu, ukrad-
kiem i z tego względu dwa razy drożej niż po-
przednio.

Wielki władca w swej bezbrzeżnej trosce o ży-
cie mędrca udał się do jego altanki wśród kwia-
tów.

Czi-San dogorywał.

A cesarz zaszlochał:

— Wielki, mądry Czi-Sanie! Nie umieraj!
Choć jeszcze jeden dzień tylko! A klęę się na su-
mienie, że wszystko będzie naprawione.

Jeszcze tego samego dnia zebrała się na roz-
kaz monarchy rada państwowa. Gniewem srogim
pałał syn niebios. Oczy jego miotwały błyskawice,
a głos grzmiał jak grom.

— Łotrze nikczemny! — zwrócił się do Tun-
Li, drżącego od stóp do głów. — Bądź gotów polo-

żyć pod miecz katowski zgniłą cebulę, którą
śmiesz nazywać swą głową! Wielki Czi-San dogo-
rywa, a historia okryje już niebawem hańbą na-
sze imię!

Tun-Li, śmiertelnie blady, padł trzykroć plac-
kiem na ziemię przed monarchą i zawołał:

— Synu niebios! Alboż nie wszystko jedno,
czy dziś czy jutro spadnie moja plugawa głowa!
Jeszcze o jeden dzień życia błagam cię, o władco
wszechświata. Znalazłem bowiem właściwe pięty!
Przecież jajka znoszą kury. Trzeba tedy i kury
również ukarać przykładnie bambusowymi różga-
mi. Niech nie znoszą drogich jaj.

Wystraszeni mandaryni odetchnęli z ulgą, a
twarze ich zajaśniały radością, gdy usłyszeli tak
proste, tak jasne i tak sprawiedliwe rozwiązanie
zagadnienia.

Przez cały dzień następny ludzie musieli krzy-
czeć na całe gardło, by móc się ze sobą porozumieć.
Tak głośno gdały kury.

A nazajutrz przestały znosić jajka.

Dostojny władca w śmiertelnej trwodze o ży-
cie swego starego mędrca odwiedził go w altance
wśród kwiatów.

Zastał go już przy samej śmierci.

Mędrzec z łagodnym uśmiechem na ustach
zwrócił się do biadającego u jego stóp monarchy,
zebrał ostatnie swe siły i powiedział:

— Niepokoi cię, o synu niebios, co powie o to-
bie historia. Nie obawiaj się. Nie złego. Historia
powie: Cesarz Czing-Czang był dobrym władcą.
Ożywiony był zawsze jaknajlepszymi zamiarami.
Dbał o dobrobyt swego kraju, zwalczał wyzysk i
nie szczędził różg bambusowych. Ale, niestety, ni-
gdy nie trafiał we właściwe pięty. Lecz taki już
jest los wielu władców tej ziemi. Nigdy nie tra-
fiają we właściwe pięty... Pociesz się tedy, o synu
nieba, i nie martw się zbytek.

Powiedziawszy to, mądry Czi-San westchnął
i umarł.

(Przełożył Michał Gluski).

EDWARD ESTAUNIE

członek Akademii Francuskiej

31)

GŁOS Z ZA ŚWIATA

Ani przez sekundę w ciągu tych ośmiu dni,
które mu pozostawiłam, nigdy nawet o tem nie
śniłam! Byłam szalona, powtarzam, gdyż liczyłam
na to, że się zleknie! — szalona, ponieważ zajmo-
wała mnie jedyna myśl, że po ośmiu dniach znów
go ujrzę! Czy mogłam zresztą zgadnąć ku czemu
zmierzam? Każda sekunda zbliżała mnie do zisz-
czenia mych marzeń, ale nigdy się nie podejrze-
wa, co może się stać. Gdy termin upłynął, posłałam
do banku. Bóg mi świadkiem, że przysłałam upo-
joną jedynem szczęściem, że się do niego zbliżę!
Tęgo się *spodziewałam*, a oto — co się stało. Oznaj-
miłam swe przybycie; odprawiono mnie. Udałam,
że wierzę, czekałam na dole przy schodach aż się
zupełnie uciszyło, wtedy weszłam wprost do jego
pokoju, uchyliłam drzwi bez pukania... Nie oszu-

kano mnie, nie było tam nikogo! Nadzieje moje
były próżne — on się ukrył! Teraz ja się skryję
z kolei i wszystko się skończy... Ach! coś trzeba ta-
kiego zrobić, ale co?... Trzeba się zdecydować na-
tychmiast. Już panu powiedziałam, że się zupełnie
nie zastanawiałam. Czy pan przynajmniej zdaje
sobie sprawę z tego, gdzie byłam? Stałam chwilej-
na w pustym pokoju, pewna, że o ile nie skuszę się
do jakiegoś czynu, stracę go zupełnie, wezwałam
do pomocy ściany, stoły, wszystkie przedmioty,
które mnie otaczały, i które były nieme, żeby choć
jeden z nich zatrzymał moje pozdrowienie! Po-
zostawałam tam, a mózg mój był zupełnie pusty;
ręce przetrząsały papiery, których nie czytałam,
przewracałam kartki i najmniejsze światelko
mnie nie oświecało, żaden istotny zamysł! Nie za-

dowolona z poszukiwań na stole Reného, poszłam do innego biurka po za otwartymi drzwiami, dokąd przywołało mnie powietrze, te same niepotrzebne ruchy!... Czy przynajmniej wiedziałam, czego szukałam i dlaczego?... Wtem kroki w korytarzu, ktoś nadchodzi; oszalała, odeszłam od stołu. Aby móc uciec, machinalnie przeszedłam przez pokój Reného. W chwili, gdy dobiegłam do drzwi, miałam czas zauważyć, że trzymam w ręku paczkę, którą rzuciłam na chybilił trafił... Zdaje się, że to były pieniądze, banknoty... Sądzę, że do tej chwili nie domyślałam się tego! I, straciwszy głowę, wybiegłam, znikłam. Przeżyłam moment strachu; chciałam już sobie powiedzieć: „Zaraz, tak, natychmiast, z chwilą gdy się uspokoję, znajdę rozwiązanie, do portu przybiją się o ile jest on widoczny!”. Powtarzałam to sobie, aby się tylko przekonać, i nie wiedząc o tem wykopałam rów, gdzie miłość moja się zawaliła!

Usiłuję odtworzyć opowiadanie panny Lormier jak najdokładniej; wbrew własnemu chęciom zmieniam może jego barwę, tak jak zeschły kwiat znaleziony pomiędzy kartkami książki. Postawa, ton głosu były jedyne w swoim rodzaju i jakież rzucały światło słuchaczowi, jakim ja byłam! Dzięki temu nie tylko wypadki nabrały właściwego sensu, ale zacząłem rozumieć dramat, który, przedstawiony w swej właściwej, treści, zasługuje może na tyle współczucia, jak i ten, pod którego brzemieniem padł René.

Panna Lormier podjęła:

— Tak, jak to zrobiłam... ja sama... Nie wiedząc o tem... Ludzie wyobrażają sobie, że przeszłość nie istnieje, myślą, że czyny, dokonane przestają żyć i chcą połączyć tłum zmarłych z dziełami przedawnionymi: oszustwo! w godzinę po mem zniknięciu, głos mej wiernej służącej, którą prowadziłam, kierowałam, rządziłam, a nie nie myślałam wtedy o niej, gdyż stała mi się zbędna, podniósł się znowu, lecz bez mego udziału! I wie pan, co ona mi oznajmiła? Że okradziono bank i że René jest złodziejem!

Powiedziawszy to, panna Lormier głośno się zaśmiała.

— Pytam się, czy pan spostrzegł cały tragizm tego, co się stało? Wypadkiem przełożyłam papiery, pęd wiatru mógłby to samo uczynić, właściwie nigdy tego nie zrozumieć, jakim sposobem ci sami ludzie, którymi posługiwałam się dotychczas, zajęli się tem czemś, co było *nieczem*, i wytworzyli skandal, a ten nas porwał. Pierwszy, kto mi to powiedział, wydał mi się warjatem, najprzód nie rozumiałam, a potem krzyknęłam: „To idiotyczne! Wiesz, że ludzie jego stanu nie kradną?” Następnie inny, i znów inny, każdy odcinał: „Czy pamiętasz, co sama o nim myślałaś? On się nie zmienił; to ty się zmieniłaś!” Ach, to było okropne! nikogo takiego nie było, ktoby przeciw mnie nie zwrócił mego własnego świadectwa! I to rosło, rozdymało się, aż wkrótce stało się prawdą, tak że René sam uwierzył i oskarżył mnie z kolei! Ja mu groziłam, powracałam, wszystko się zbiegało z sobą. Choć to było absurdalne, nie mogłam już być w jego oczach czem innem jak złodziejką!... Potem... Potem, prawda, tracę watek, nie mogę

już opowiadać... Cierpiałam, jak w chwili śmierci. Nawet gdyby Traversotowie go wypędzili, wiedziałam dobrze, że się już nigdy z nim nie złęcę. Nie wyobrażałam sobie, że po takiej klęsce żyć jeszcze można, a ja żyłam. Również nie sądziłam, aby można było więcej cierpieć; nazajutrz rano spotkał mnie. Chciałam uciec, zatrzymał mnie. Chciałam milczeć, chłostana jego wyrzutami, i nie mogłam powstrzymać jedynych słów, jakich nigdy nie powinienam była wypowiedzieć. Nie dość było utracić go: ja go zabiłam!

Po tych słowach nastąpiło przygnębienie. Tak straszne zwierzenia wywołały znużenie duszy aż znieruchomiała, nie mogąc ani powstać, ani mówić dalej, ja zaś chciwie czekałam na dalszy ciąg jej zeznań, w istocie nawet zbędnych, gdyż wszystko zostało już wyjaśnione.

Odczuliśmy jednaką ulgę. Należy pamiętać, że wiadomość, otrzymana z rana o zniknięciu Reného, uczyniła nas równie wrażliwych, jak struny na najlżejszy podmuch. Jakaś wspólność zmusiła nas, że po pewnym wypoczynku, zwróciliśmy się ku przeszłości z pyłaniem:

— „Co w sobie zawierasz?”

— Rozumiem — powiedziałem wreszcie — że pani chce swoje cierpienie zrównać z jego cierpieniem, jest pani bardzo nieszczęśliwa...

Na dźwięk mego głosu zaczęła się trząść, poczem bez odpowiedzi, z wielkim wysiłkiem podniosła się.

Zbliżyłem się, ale gestem odmówiła przyjęcia pomocy i szła aż do drzwi. Jednak nie chciała jeszcze odejść, raczej przeciwnie, spojrzała na mnie.

— Teraz mnie pan już nie pyta, dlaczego chciałam otrzymać jego adres?

Odpowiedziałem ruchem pełnym znużenia:

— Poco?

Zdawała się zbierać nowe siły, aby odpowiedzieć:

— Pan się myli, gdy się zatrzymałam, nie doszliśmy jeszcze do końca.

Wydałem okrzyk:

— A cóż mogłoby jeszcze być gorszego?

— Wczoraj znalazłam... kobietę, o której mówiłam, ta, co mnie uświadomiła...

— Lapirotte!

— Ta kobieta, przyciśnięta pytaniami, musiała przyznać, że kłamała, aby się zemścić. Wszystkie te wiadomości były fałszywe! wszystkie, zarówno historie o jego urodzeniu, jak i reszta.

— Jaki to!? — zawołałem — ona śmiała...

Tragicznym ruchem panna Lormier nie pozwoliła mi dokończyć:

— Rozumie pan teraz, dlaczego ja tu jestem? Czy nie należałoby mu napisać, że ja też kłamałam? Oh! choć o tem nie wiedziałam, ale co mnie to może obchodzić. Kłamałam! Przybiegłam, aby go ocalić i dowiedziałam się...

Załamala ręce:

— Jakże dalej żyć?

(d. c. n.).

(Przekł. autor. Zofji Dygasińskiej-Wolertowej).